płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI 1—15.III.1987 5

Bibl. WSP

Rys. Zdzisław Byczek

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Mikłaszewski

— Nic mnie nie obchodzi Święto Kobiet, jeżeli nie ma Święta Mężczyzn!

— To kosztowne święto, tato: ty masz teściową, żonę i 3 córki, a ja babcię, mamę i 3 siostry!

— Może pan na moim pojedzie?

A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE!

SZTOKHOLM — stolica Szwecji, położony jest na 12 wyspach i wiele ulic przebiega tam wzdłuż kanałów. Nic też dziwnego, że wiosną i latem motorówek używa się tam tak samo często jak samochodów.

●

WIELKIE ZBIORNIKI na ropę naftową są drogie i zajmują dużo miejsca. Wobec tego w RFN postanowiono w tym celu wykorzystać stare kopalnie soli. Sól bowiem nie przepuszcza ropy i jej produktów oraz nie tworzy z ropą związków chemicznych. Napełniono już ropą dziesięć takich „zbiorników" i planuje się wykorzystanie dalszych.

●

JESZCZE DZIŚ w Indiach stosuje się około 100 różnych kalendarzy. Prawie każdy stan (odpowiednik naszego województwa) ma swój własny system obliczania czasu. Kalendarze te różnią się między sobą datą rozpoczęcia roku, liczbą miesięcy, dni oraz nazwami miesięcy. Władze centralne od dawna już czynią usilne starania, aby wprowadzić jednolity kalendarz w całym kraju. Jednak wielowiekowa tradycja i przyzwyczajenia ludzi uniemożliwiają wszelkie próby w tym względzie.

●

KLOCKI „Lego", również popularne w Polsce, wymyślił przed pięćdziesięciu laty duński stolarz Ole Krik Christiansen. Materiał pierwowzoru, czyli drewno, zastąpiono dziś tworzywem sztucznym. Jego skład chemiczny, a nawet rodzaj barwnika, objęte są ścisłą tajemnicą. Nikomu nie da się ich podrobić. Elementy zestawów wykonane są z dokładnością do setnej części milimetra. Klocki „Lego" produkowane są nie tylko w Danii, ale także w Szwajcarii, RFN, Brazylii, Korei Południowej. Eksportuje się je do 120 krajów. Jedyna zasada przestrzegana jest z żelazną konsekwencją: wśród klocków „Lego" nie ma zabawek militarnych.

UWAGA! W związku ze wzrostem ceny papieru i kosztów druku, zmuszeni jesteśmy podwyższyć cenę „Płomyczka" o 5 zł.

Ci Czytelnicy, którzy wcześniej opłacili prenumeratę na dalsze miesiące br., otrzymają „Płomyczek" bez dodatkowej dopłaty.

Nasza okładka:

Kwiaty dla naszych Babć, Mam, Sióstr i Koleżanek

HARFA

Harfa ma 47 strun,
7 pedałów i ramy,
a my, patrząc na harfę,
wciąż o to samo pytamy:

— Dlaczego na harfie grają
prawie wyłącznie panie?
I zaraz odpowiadamy
sobie na to pytanie:

— Bo jak wynika z obrazów,
które znamy z kościołów,
harfa jest instrumentem
godnym jedynie aniołów.

Wanda Chotomska
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

TRZY MĄDRE RADY

Dawno, dawno temu żył w pewnej wsi u podnóża góry Parnas bardzo biedny człowiek. Miał na imię Antonis. Mieszkał w małym, drewnianym domku. Dach domu podobny był do zniszczonej, wyrudziałej czapy. Między belkami, które jeszcze pachniały żywicą, były duże szpary. Latem słońce wdzierało się nieśmiało, a jesienią i zimą wiatry świszczały i zawodziły. A zimy były tu surowe, śnieżne.

Kominek dymił i dymił, a żona biednego Antonisa, Stella, śpiewała ośmioletniemu synkowi piosenki o dalekich krainach i pięknych miastach.

Za domkiem ciągnęło się skaliste poletko.

Pewnego wieczora Antonis powiedział do żony:

— Nasza ziemia jest skalista. Nie wyżywi nas. Czas wyruszyć w świat. Może tam los będzie łaskawszy. Pojadę... Nie wiem, na jak długo... Może na kilka miesięcy, może na kilka lat. Wrócę na pewno z pełną sakiewką. Wypędzimy wtedy biedę z naszego domu.

— Dobrze, mężu — rzekła Stella zdławionym głosem. — Tylko o nas nie zapomnij, o synku i o mnie.

Następnej nocy Antonis opuścił rodzinny dom. Czekała go ciężka i długa wędrówka. Ścieżka wiodła przez brunatne, wapienne skały, przez strome zbocza, gdzie echo straszyło, jakby wydobywało się z wnętrza gór. Rzadko odpoczywał, nieraz ze szczytów gór toczyły się kamienie, jakby rzucane rękami bogów. Wtedy odlatywały spłoszone orły, a on przyspieszał kroku. W końcu dotarł do miasta z ukwieconymi białymi domami i czerwonymi dachówkami. Nie mógł jednak znaleźć dobrej pracy. Nie znał żadnego fachu. Zgodził się być pomocnikiem u garncarza. Pracował kilka lat. W końcu znudziło mu się palenie w piecu, noszenie gliny, dzbanów o dwóch uchach, glinianych misek, sprzątanie. Garncarz nie dawał mu żadnych pieniędzy. Tylko gospodyni po kryjomu wrzucała do jego kieszeni jakiś grosik, i to za piosenkę, którą żarliwie śpiewał:

Jestem potomkiem biedy,
niczego się nie boję,
w pieśni moje marzenia,
troski i wzruszenia...

Pracując wciąż myślał i tęsknił za żoną, synkiem i swoim biednym domem.

Czas już wracać do domu, pomyślał. Biedni nie mają szczęścia na tym świecie. Co też porabia moja żona z synkiem? Nie mogę tu dłużej pozostać.

Pewnego wieczoru zwrócił się do garncarza:

— Zbyt długo już tu jestem, chcę wrócić do domu. Myślę, że jakaś zapłata mi się należy.

Gospodarz na pierwszy rzut oka okazał się hojny. Bez zastanowienia wyjął z kieszeni trzy srebrne drachmy.

— Masz i szczęśliwej drogi. Tyle warta była twoja praca — powiedział garncarz.

Biedny Antonis ścisnął mu rękę. Nie odezwał się wcale, tylko ciężko westchnął. Pożegnał się i ruszył do drzwi.

Nie zdążył przekroczyć progu domu, gdy usłyszał wołanie:

— Antonis, poczekaj. Zwróć mi jedną drachmę, dam ci mądrą radę.

— Ależ, panie, ja jestem bardzo biedny! Chciałem chociaż te drachmy zanieść żonie i synowi.

— Nie bądź skąpy, słyszysz? Dam ci naprawdę mądrą radę.

Antonis nie mógł się opędzić od natrętnego garncarza. Patrzył na niego osłupiały. W końcu zgodził się.

— Nie pytaj o to, co do ciebie nie należy! Oto moja rada — stwierdził garncarz kręcąc głową.

— Dobrze! — zgodził się Antonis i ruszył naprzód.

Ledwo furtkę zamknął, znów usłyszał wołanie:

— Antonis, poczekaj. Zwróć mi jeszcze jedną drachmę, dam ci nową mądrą radę.

— Ależ, panie, ja jestem bardzo biedny. Chciałem chociaż te dwie drachmy zanieść żonie i synowi.

— Nie bądź skąpy, słyszysz? Dam ci naprawdę nową mądrą radę.

I tym razem Antonis się zgodził.

— Nie zbaczaj nigdy z wybranej drogi! Oto moja rada — powiedział garncarz kręcąc głową.

— Dobrze! — powiedział Antonis i ruszył naprzód.

Nie zdążył nawet do skrzyżowania ulic dotrzeć, znowu usłyszał biegnącego za nim garncarza.

— Antonis, poczekaj. Zwróć mi ostatnią drachmę, dam ci ostatnią mądrą radę — powiedział garncarz.

— Ale, panie, ja jestem bardzo biedny! Chciałem chociaż tę jedyną ostatnią drachmę zanieść żonie i synowi.

— Nie bądź skąpy, słyszysz? Dam ci naprawdę ostatnią mądrą radę — powiedział garncarz.

Antonis z biciem serca wyszeptał:

— Dobrze... Bóg widać nie jest łaskawy dla biednych.

— Dzisiejszą złość przenieś na jutro! Oto moja ostatnia mądra rada — powiedział garncarz.

Tak więc bez ciężaru w kieszeni ruszył Antonis w drogę. Wędrówka jego nie miała końca. Podczas wędrówki pewnego dnia na szczerym polu, blisko drogi polnej, ujrzał drzewo uginające się pod ciężarem świecących monet. Gdy już znalazł się tuż-tuż, zobaczył karła, który siedział na jednej z gałęzi i wieszał na niej złote drachmy. Antonis przystanął na chwilę, nie odzywając się wcale. Bo właśnie przypomniał sobie pierwszą mądrą radę garncarza: „Nie pytaj o to, co do ciebie nie należy". Ruszył dalej. Karzeł zdziwiony jego zachowaniem zawołał:

— Hej, człowieku! Stój! Zatrzymaj się!...

Antonis przystanął w milczeniu, spojrzał na karła.

— Dziesięć lat tu siedzę — powiedział karzeł — i wykonuję tę samą czynność. Wszyscy, którzy tędy przechodzili, pytali. Tylko ty jeden zachowałeś się, jakbyś mnie nie zauważył. Brawo, daruję ci życie i te oto złote drachmy. Szczęśliwej drogi!

Antonis nie mógł uwierzyć, że szczęście uśmiechnęło się do niego. Kieszenie miał teraz pełne złotych drachm. Maszerował i śpiewał, maszerował i pogwizdywał z radości.

— Warto było oddać jedną srebrną drachmę — mówił głośno — za tę naprawdę mądrą radę garncarza.

Wędrował dalej. Pozdrawiał ptaki, napotkane zwierzęta. Pewnego dnia swej wędrówki spotkał na drodze dwóch przewoźników z obładowanymi czterama osłami. Wędrowali tą samą drogą co Antonis. Antonis poprosił, żeby pozwolili mu siąść trochę na grzbiet osła. Był bardzo zmęczony. Zgodzili się. Niebawem dotarli do przydrożnej tawerny. Przewoźnicy weszli do środka napić się wina. Antonis przypomniał sobie drugą mądrą radę „Nie zbaczaj nigdy z wybranej drogi" i pozostał pilnować osły. Nie minęło kilka minut, kiedy nastąpiło trzęsienie ziemi. Tawerna runęła, grzebiąc wszystkich znajdujących się ludzi w środku. Antonis tylko się przewrócił i lekko skręcił nogę.

— Również druga mądrość warta była jednej drachmy — wyrzekł pełnym wzruszenia głosem.

Wsiadł na jednego osła i liną pociągnął za sobą pozostałe trzy osły. Po niedługim czasie był już w rodzinnej wsi. Gdy dojechał do swojego domu, osły zostawił na podwórzu. Sam za-

pukał do drzwi. Drzwi otworzyła mu żona. Żona, Stella, nie poznała go. Był zarośnięty, brudny, obdarty i lekko utykał na prawą nogę. Zgodziła się, by przenocował pod morwą.

Antonis ledwo zdążył położyć koc, gdy spostrzegł w ciemnościach młodego mężczyznę wchodzącego do domu.

— O! Zapewne wyszła po raz drugi za mąż i o mnie zapomniała — pomyślał zazdrosny.

Zdenerwował się tak, że gotów był zabić tego człowieka. Ale przypomniał sobie trzecią radę garncarza: „Dzisiejszą złość przenieś na jutro" i położył się spać. Do rana nie zmrużył jednak oka.

Rano, gdy chciał nakarmić osły, usłyszał głos młodego mężczyzny:

— Mamo, muszę już iść. W południe przyniosę trochę fasoli i cebuli. Ugotujesz zupę...

— Dobrze, synku, dobrze — odpowiedziała Stella.

Wtedy Antonis prawą ręką stuknął się w czoło i pobiegł do domu wołając:

— Żono moja, synu, wróciłem. To ja jestem, wasz mąż i ojciec...

Okrzykom, łzom i uściskom nie było końca.

Nikos Chadzinikolau
Rys. Teresa Jaskierny

TADEUSZ FANGRAT poeta, satyryk, tłumacz literatury węgierskiej. Urodził się 2 III 1912 r. w Łodzi. W 1937 r., a więc dokładnie przed 50 laty opublikował swój pierwszy wiersz w czasopiśmie łódzkim „Osnowa". Uczestnik kampanii wrześniowej. W latach 1939—1945 przebywał na Węgrzech. W 1942 r. ogłosił w Budapeszcie tom poezji pt. „Z żagwią przez mroki".

Największą popularność i sympatię czytelników przyniosły Tadeuszowi Fangratowi fraszki. Napisał ich kilka tysięcy. Krążą one nieustannie po czasopismach dla dorosłych i dla dzieci. Dla dzieci opublikował m.in. zbiory fraszek „To i owo na fraszkowo", „Igraszki z krainy fraszki". Dotychczas wydał 12 zbiorów wierszy, fraszek i przekładów.

* * *

Nieśmiało, bezszelestnie jak księżyc chodzi. Wciąż się rozgląda, czemuś przygląda. A potem nagle — patrząc na jakiegoś „Wspinacza" — mówi:

Pnie się w górę. Lecz po licha
innych na dół spycha?

Bardzo lubi róże. Rozdaje róże. I zaraz wyjaśnia, dlaczego?

Jedna róża pani dana
i już buzia roześmiana!

Zauważcie: nie mówi twarz ani oblicze. Mówi buzia, jak do dziecka. I rzeczywiście dużo pisze dla dzieci.

Fot. Stefan Rutkowski

W tych dniach — 2 marca — obchodzi pan Tadeusz Fangrat swoje siedemdziesiąte piąte urodziny. W tej uroczystej chwili życzymy Mu wielu ciepłych, mądrych fraszek, pełnych niespodziewanych odkryć. Takich na przykład jak ta:

Co to jest jajko?

Początek
kurczątek.

Tadeusz Chudy

FRASZKI TADEUSZA FANGRATA

Rys. Bohdan Butenko

ZAPAŁKI

Już zamykałem drzwi na klucz, kiedy poczułem lekki niepokój.

Wróciłem na palcach do mieszkania, zajrzałem do Kuby, Spał jak suseł. Przy jego łóżeczku paliła się mała lampka nocna. Na pewno zdążę wrócić, zanim się obudzi.

W szkole mieliśmy od niedawna komputer. Zbieraliśmy się po lekcjach i każdy chciał koniecznie zapoznać się z nim bliżej.

Ogromnie mnie wciągnęły te wszystkie gry i zabawy. Tym razem zebrało się nas więcej niż zwykle. Było nawet parę dziewczyn i długo musiałem czekać na swoją kolejkę. Muszę się pochwalić, że dobrze mi szło i instruktor pochwalił mnie za zręczność i uwagę. Na drugą kolejkę już jednak nie czekałem. Bardzo spieszyłem się do domu.

Kiedy już byłem na schodach nawet nie czekałem na windę, biegłem po dwa stopnie. Wydawało mi się, że tak będzie szybciej.

Usłyszałem płacz Kuby.

Szybko otworzyłem drzwi. Nacisnąłem kontakt w przedpokoju. Nadal było ciemno.

— Co się stało? — zawołałem. — Nie ma światła?

Omal nie wpadłem na braciszka.

— Dlaczego nie jesteś w łóżku!

— Buuu — ryczał malec. — Bałem się. Bardzo się bałem. Tak ciemno ... A ty mnie zostawiłeś...

— Przestań beczeć. Zaraz będzie widno!

Po ciemku poszedłem do kuchni, sięgnąłem do szuflady, w której mama trzymała świece.

Sięgnąłem wyżej. Po zapałki. Nie było ani jednego pudełka. Szukałem, macając ręką po całej szafce. Przypomniałem sobie, że jest jeszcze jedno

miejsce, gdzie mama je chowa. W pokoju na najwyższej półce regału. Były tam. Zapaliłem świecę.

— No, już jest widno — zawołałem. — Zaraz cię zaprowadzę do łóżka. Chodź szybko, bo się zaziębisz...

— Nie zostawiaj mnie samego — prosił mały po drodze.

— Nie zostawię — powiedziałem.

Weszliśmy do jego pokoju i już w drzwiach omal nie upadłem z przerażenia. Cała podłoga zasypana była wypalonymi zapałkami. I nie tylko podłoga. Leżały wszędzie, na dywanie, na szafce, na oknie... W pobliżu firanek... Brrr... Aż mi się zimno zrobiło...

Już teraz wiedziałem, dlaczego nie było zapałek w szafce nad kuchnią.

— Dlaczego ruszałeś zapałki? — wrzasnąłem.

— Musiałem wejść na krzesełko, mało nie spadłem, to było bardzo wysoko — powiedział Kuba i znów zaczął płakać.

— Przecież wiesz, że dzieciom nie wolno bawić się zapałkami — krzyknąłem.

— Ja się wcale nie bawiłem. Chciałem, żeby było widno. Ale nie było już więcej zapałek, a ja się okropnie bałem...

— Mogłeś zrobić pożar! — powiedziałem, tym razem raczej do siebie.

Te zapałki tuż obok firanek, na dywanie...

A brat stał obok mnie, malutki, bezradny, i płakał.

Położyłem go do łóżka i przykryłem kołdrą.

— Już będę grzeczny — powiedział. — Już nie będę ruszał zapałek.

— To dobrze! To bardzo dobrze. Wiem, że jesteś bardzo mądrym chłopcem.

Zarzucił mi ręce na szyję.

Wyszeptałem mu do ucha:

— A ja już nigdy nie zostawię cię samego, Kubusiu...

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Krzysztof Olszewski

JANINA BRONIEWSKA w latach 1934—1937 pracowała w redakcji „Płomyczka" oraz „Małego Płomyczka" i w tych pismach drukowała swoje pierwsze utwory. W tym też czasie ukazały się jej pierwsze książki: „Historia gałgankowej Balbisi", „Historia toczonego dziadka i malowanej babki" i „Ciapek włóczęga".

Podczas wojny Janina Broniewska była działaczką Związku Patriotów Polskich i żołnierzem I Armii Wojska Polskiego. Z wydarzeniami wojennymi są związane jej powojenne książki dla dzieci: „O człowieku, który się kulom nie kłaniał" oraz „Filip i jego załoga na kółkach", którą jako lekturę szkolną, drukujemy w „Płomyczku".

List od załogi Filipa i Autorki

To było bardzo, bardzo dawno. Wasza Babcia była młodsza od Janka. Nic to jednak nie zmieni w przygodach Filipa, trochę mechatego konia. A skąd wiemy, co koń myśli, gdy myśli? Od samego Woźnicy! Kto bowiem może wiedzieć lepiej niż ten, co karmi i poi takiego dziwacznego, ale najprawdziwszego konia i sam nim powozi?

Zapewniamy więc Was w imieniu Woźnicy, grubego Kucharza, Jasia i kota-pasażera pełnej „załogi na kółkach", że tak było, jak było, Dokładnie tak, a nie inaczej.

A jak? Sami sobie poczytacie. Po cichu albo głośno, jak sobie chcecie. Na obrazki popatrzcie, bo i Pan Malarz słusznie nam uwierzył. A czy mógł nie uwierzyć, gdy to wszystko najprawdziwsza prawda?

Pozdrawiamy Was wszystkich,
Czytelnicy Kochani!
W pełnym składzie:
załoga dawnej kuchni polowej
oraz
autorka, Janina Broniewska

NASZE LEKTURY

FILIP I JEGO ZAŁOGA NA KÓŁKACH

Kiedy go przywiedli do obozu, strzygł bojaźliwie uszami. Jeżył mechatą, skołtunioną sierść. Wyłupiaste oczy łypały na lewo i prawo. Nie chciał ani owsa, ani siana. Ale niech no dopadł starej miotły albo chruścianego płotu!

— Cudak nie koń! — westchnął wąsaty Woźnica. — Jakże z takim na wojnę pójdziemy? Skądże ja mu co dnia miotłę wezmę?

— Przywyknie, przywyknie! Nogi ma mocne! — pocieszał kucharz, kiedy zaprzęgli konia po raz pierwszy do kuchni polowej. — E, Filip, cofnij się! Nuże, Filipie!

Konisko łypnęło lewym okiem, stuliło uszy, ale cofnęło się posłusznie wchodząc między dyszle.

Widać spodobało się koniowi to dziwne imię. Dziwne imię, nawet jak na tak mechatego konia.

Po paru dniach doskonale już znał Woźnicę i Kucharza. Nie bał się także stale dymiącego komina tej wędrownej kuchni. Ani bulgotania żołnierskiej zupy w wielkim kotle na kółkach. Półgębkiem, niechętnie, nieufnie zaczął przeżuwać owies.

Spróbował i sieczki, siana.

— Hm, niczego nawet! Ale gdzie im do miotły! — parsknął w pełny worek zawieszony na mechatym karku.

Nadszedł wreszcie dzień wymarszu całego obozu. Najpierw szły ciężkie działa. Potem z wielkim hukiem ruszyły czołgi na stalowych gąsienicach. Śpiewająca piechota przedzielała

tabory. Tabory przedzielały kuchnie polowe i wozy z amunicją. I znów piechota. I znów czołgi. I znów armaty. I duże, i małe. Jak to w najprawdziwszym wojsku bywa. W takim wojsku, które ciągnie na najprawdziwszy front. A wojsko było właśnie najprawdziwsze. W zielonych rogatywkach i w żelaznych hełmach.

Na każdym hełmie wymalowany biały orzełek. Na każdej rogatywce taki sam orzełek, tylko wycięty ze srebrzystej blachy. Teraz się już sami domyśliliście, że to było nasze Polskie Wojsko. Polskie Wojsko, które wyruszyło ze Związku Radzieckiego do Polski. Z obozu nad wielką rzeką Oką, bardzo nawet podobną do Wisły. Tylko ta rzeka Oka płynie sobie daleko na wschód od naszej Wisły. Jak zaczniecie liczyć kilometry między Oką i Wisłą, naliczycie ich ponad tysiąc.

— Daleka droga przed nami, Filipie! — powiedział Woźnica zbierając lejce.

— Ale prościutko do domu prowadzi, Fili-

pie! Do samej Polski! — stęknął gruby Kucharz gramoląc się po kole na ławeczkę kozła.

I pojechali. Za czołgami, za armatami, za taborami, za piechotą pięknie w marszu śpiewającą. Kuchnia polowa nie chodzi przecie na czele wojska, tylko na końcu. Dlaczego na końcu? Żeby odpoczywającego żołnierza nakarmić. Po marszu długim, po bitwie ciężkiej. I tego, co jedzie na czołgach. I tego, co wiezie armatę. I tego z piechoty, maszerującego na własnych utrudzonych nogach.

Długo, długo jechali. Przez wielki kraj. Przez wielkie pola, przez wielkie lasy. Przez wsie wojną zniszczone. Wiele, wiele kotłów zupy nawarzyli. I kapuśniaku, i krupniku. Tłustej zupy i chudej zupy. Bo na wojnie różnie bywa. Czasem nocą podjeżdżali pod samiutkie okopy, jeśli żołnierze byli nie w marszu, lecz właśnie w okopach. A wtedy także gwizdały kulki koło długich uszu Filipa.

Tylko do ataku nigdy ze swoją kuchnią nie chodzili. Bo kuchnia polowa jest nie do strzelania, lecz do karmienia. Na to ma właśnie kocioł, kominek i palenisko.

Jechali i jechali. Minęły jesienne szarugi. Potem zadymki śnieżne. Potem śliczna wiosna w starych, odwiecznych puszczach. Wiele już było bitew za nimi. I wiele kilometrów. Coraz bliżej też była Polska.

I wreszcie nadeszło upalne lato 1944 roku.

Wzdłuż drogi ciągnęła się wieś. Wieś bez jednego mieszkańca. Bardzo smutna wieś. Chałupy miały rozwalone strzechy. Podwórka były opustoszałe. Pod płotami leżały, porzucone widać w pośpiechu, pierzyny. Prażyło lipcowe słońce. I tylko słoneczniki w ogródkach ciekawie wysuwały złociste głowy zza połamanych ogrodzeń.

A miały się czemu przyglądać, bo miały!

Drogą przecie ciągnęły wojska. Radzieckie i polskie. Zgrzytające na gąsienicach czołgi. Prychające motorami ciężarówki, załadowane żołnierzami, i w rogatywkach, i z czerwonymi gwiazdkami na czapkach. Dudniące ciężko armaty o grubych paszczach przysłoniętych gałęziami. Małe działka z kolebiącymi się lufami. Wozy z amunicją. Pękate wozy taborów. Zakurzona piechota. Znów działka. Znów tabory. I jeszcze raz piechota. Godzinami, kilometrami szli a szli. Za każdym oddziałem kuchnia polowa. Potem przerwa. I znów od początku. Czołgi, armaty, piechota. Słoneczniki za płotem zwiesiły, zmęczone upałem, złociste głowy.

Nad drogą leniwo opadał tuman kurzu. Niedaleko już był Bug. Rzeka, którą mieli przebyć w ostatniej przed Polską bitwie. Na końcu zakurzonego oddziału turkotał wózek.

— Wio! Wio! Wyciągaj nożyska, Filipie! Obiad nam się przypali! — mruczał na koźle Woźnica.

Kucharz drzemał. W kotle bulgotał gotujący się krupnik, z kominka snuł się siwy dymek.

Mechaty Filip zastrzygł uszami, i dalej człapał dosyć niemrawo po zapylonej drodze.

— Prr! Stój! — zakrzyknął nagle Woźnica i aż przesunął rogatywkę na lewe ucho, patrząc w osłupieniu w bujne chwasty przydrożne.

— A bo co? — zdziwił się obudzony nagle Kucharz, przetarł pośpiesznie oczy i zapatrzył się także w kępkę łopianu za rowem.

— Sen — nie sen? — mruknął zdziwiony.

Filip stanął posłusznie. Zastrzygł uszami, machnął ogonem, łypnął w bok okiem, co jak wiadomo, w końskiej mowie znaczy:

— Jechać to jechać! Stać to stać! A mnie co! Od myślenia jest Woźnica i Kucharz. Ich dwie głowy mądrzejsze od mojej, choć moja i tak większa...

W wielkich, szarych od pyłu liściach łopianu coś się poruszyło. Woźnica błyskawicznie przesunął do przodu wiszący na rzemieniu automat.

— Niemiec? — mruknął Kucharz, także przesuwając automat. — Całe wojsko przeczekał, a na nas wylazł. Widzisz go, damy mu, oj, damy?

Nagle rozchyliły się liście, zza liści wysunęła się łepetyna o bardzo zmierzwionych włosach i cieniutki głosik wykrzyknął:

— To ja! Nie strzelajcie, wujciowie!

— Chudziaku ! Kurczaku! A chodźże tu — zadziwił się Woźnica i nieznacznie przesunął z powrotem rzemień. — Co za ja?

— Nieboraku! Czyjżeś to? — rozczulił się Kucharz i także nieznacznie przesunął z powrotem rzemień.

— Teraz niczyj! — odpowiedział mały, stając na czworakach. Podniósł się, otrzepując porcięta, mocniej zacisnął postronek, zastępujący pasek, i jednym susem przesadził dzielący ich rów.

Stał teraz przy dymiącej kuchni na kółkach, zadzierając ku siedzącym na koźle zmierzwioną głowę, i mówił zadyszany:

— Naszych Niemcy pognali ze sobą. Wczoraj. Za Bug. Schowałem się w budzie Kruczka, Kruczka zastrzelili. Mnie nie widzieli. Was się chciałem doczekać. Ojej! Ile to was? Takie

wielkie maszyny jechały, a jechały. A za nimi armaty. A potem szli żołnierze. Idą a idą. Po czterech. Po czterech. Nie miałem śmiałości wyjść na drogę. Nazywam się Janek. Tatę do Niemiec zabrali. Ze dwa roki temu. Mama z babką i małymi z całą wsią het! poszła...

Zamorusaną ręką pokazał na zachód, skąd słychać było pomruk artylerii.

— A to ci bieda! — zmartwił się Kucharz. — Jakże cię tu samego zostawić?

— Ani gadania! W wymarłej wsi! Takie dziecko? — oburzył się Woźnica i niby srogo wąsiskami zaruszał.

— Ano, to mówię przecież to samo! Tylko jak to takiego bąka na wojnę brać? — biadał Kucharz i aż pot z czoła ścierał rękawem. — Nie słyszysz to, jak artyleria wali? Jakże z dzieckiem w bitwę wjedziemy? Kuchnia polowa — to nie przedszkole...

— Niby tak! E... co to chciałem powiedzieć? Niby nie! — stękał coraz bardziej zafrasowany Woźnica.

Filip obejrzał się na rozmawiających. Łypnął okiem raz. Łypnął drugi. Ogonem machnął w lewo, w prawo, co, jak wiadomo, w końskiej mowie znaczyło po prostu:

— Nie macie to większych zmartwień? Kto go będzie ciągnął? Ja czy wy? Baju-baju, z kuchnią i tak do ataku nie chadzamy! A krupnik się przypali, jak tak jeszcze dłużej będziecie stać...

Woźnica jakby usłyszał tę końską radę. Pochylił się nad małym, podniósł go w górę i posadził między sobą i Kucharzem na wąskiej ławce kozła.

— Wio, Filipie! Jak jechać, to jechać! — cmoknął na konia.

I pojechali. Koń Filip, Kucharz , Woźnica, rozczochrany Janek i bulgocący kocioł z żołnierską zupą.

Kucharz pogrzebał w chlebaku i wyjął pajdę czarnego, żołnierskiego chleba.

— Głodnyś? Pożyw się, synku!

— Jeszcze jak! — westchnął mały.

— No, to sobie podjedz! Czekaj! Mam i ja coś tu dla ciebie! — przypomniał sobie Woźnica i wygrzebał z kieszeni kostkę cukru.

— Ale Niemcy uciekali! — mówi Kucharz i pokazuje mijane rowy.

W rowach leżą rozbite maszyny, przewrócone do góry kołami. Wielki niemiecki czołg, podziurawiony pociskami, stoi z opadłą gąsienicą. Na łące opuszczone niemieckie rowy, skłębione zwoje drutu kolczastego.

— Biorą w skórę, biorą! — uśmiecha się Woźnica. — Wyciągnij nożyska, Filipie! A to z obiadem się spóźnimy! Chłopaki przecie zdrożone!

Janek patrzył z zachwytem na orzełki swych opiekunów. Zadzierał głowę, palcami dotykał guzików i rzemieni. Łykał przy tym wielkie kęsy chleba. Kiedy przełknął ostatni kęs i schrupał cukier, pociągnął nieśmiało Woźnicę za rękaw.

— Co powiesz? — spojrzał Woźnica na Janka.

— A to wy, wujciowie, z daleka jedziecie?

— Z daleka, dziecko, z daleka. Anibyś nie naliczył tych kilometrów, które mamy za sobą. Za małyś...

— Do stu potrafię — pochwalił się Janek.

— Za mało! Dziesięć razy po sto będziesz musiał liczyć — wtrącił Kucharz. — I jeszcze ci zostanie...

— I to wyście tych Niemców przegnali?

— Nie sami, przecie, nie sami! Widziałeś to, jak ciągnęło wojsko przez twoją wieś? — znów mówi Woźnica i cmoka na Filipa. — Spiesz się, Filipie, spiesz!

— Ano widziałem — potwierdza Janek. — Takie jak wy mieli na czapkach orzełki. A inni czerwone gwiazdki. To też nasze?

— Nasze, kiedy Niemców biją! I jak biją! — potwierdza Kucharz.

Mijali znów wieś. Opustoszałą. Z rozbitymi strzechami. Z porzuconymi pierzynami. Na drogę wybiegł mały kociak, bury w białe łatki. Rozdziawił różowy pyszczek i zamiauczał żałośnie.

Janek pociągnął za rękaw Woźnicę, popatrzył ku niemu w górę.

Woźnica zaruszał wąsiskami i krzyknął na konia:

— Prr... Filipku! Do paleniska trzeba dołożyć. Wygaśnie!

— Ano, ostatnia wieś przed Bugiem — zgodził się Kucharz i zgramolił się z kozła. Za nim Janek jednym susem. Dopadł do kociaka i wsunął go za pazuchę.

Po chwili znów siedzieli na koźle. Filip tylko ku nim łypnął okiem podejrzliwie.

— No, jazda! — stęknął zasapany Kucharz.

— Do Bugu paliwa starczy! Artyleria jeszcze bije, zdążymy na czas.

Koń obejrzał się znów. Zastrzygł uszami, ogonem machnął, co w końskim języku miało znaczyć całkiem wyraźnie:

— Coś mi się widzi, że jeszcze jeden do mojej załogi przybył. Pytaliście to mnie o zgodę?

Kociak jakby w odpowiedzi wysunął łebek zza pazuchy Janka i miauknął przymilnie:

— Miau... Przecież mnie uciągniesz. Co to za ciężar dla takiego wielkiego konia?

Filip machnął ogonem, udobruchany. Nareszcie go ktoś nazwał „wielkim koniem", choć, jako żywo, był mechaty, nieco pokraczny i wzrostu wcale nie ważnego.

Popędzili więc raźno, tumany kurzu wzbijając na drodze.

— Ucichło? — spytał niespokojnie Kucharz. — Chłopaki pewnie już rzekę wpław biorą, bo artyleria umilkła.

— Jazda, Filipie! Jazda! — wesoło zakrzyknął Woźnica i z przejęcia aż stanął na

wózku. Kiedy jednak z turkotem przejechali ocalały mostek, po polu snuł się tylko zapach prochu i żołnierze siedzieli gdzie popadło na trawie, opatrując broń po bitwie.

— Zupa! Gorąca zupa! — krzyknął Kucharz stając na wózku.

Zaraz się zrobił ruch w oddziale. Otoczyli ich żołnierze z menażkami.

— Coście to za przedszkole przywieźli? — zakpił jeden i podsunął Jankowi pokrywkę własnej menażki. — Na wojnę jedziesz, a menażki nie masz? Naści, niebożę! Pożyw się!

Drugi podał mu własną łyżkę, widać zapasową.

Siadł Janek przy drodze, kota zza pazuchy wysunął i zabrali się do jedzenia. Janek łyżką, kot w trąbkę zwiniętym języczkiem. Jeden ze środka. Drugi z brzeżka. A wkoło rozsiedli się żołnierze, pośpiesznie zjadając gorący krupnik. Postój był krótki. Ledwo Janek zdążył wymyć pokrywkę w rzece, gdy piechota znów ruszyła. Zostali z kuchnią nad rzeką. Wzięli się we trzech do mycia kotła. Nabrali wody na nowy posiłek. I znów ruszyli za wojskiem. Koń Filip, Kucharz, Woźnica, Janek z rozczochraną głową i kot o mocno napęczniałych krupnikiem bokach.

Wędrował tak Janek do zmroku. Nareszcie natrafili na wieś. Wzdłuż drogi stali ludzie, zza wszystkich płotów sterczały głowy. Rzucali wojsku pęki kwiatów, machali czapkami, chusteczkami i krzyczęli, że słychać było na milę:

— Niech żyje nasze wojsko! Niech żyje!

— No, Jasiu, teraz cię już u ludzi zostawimy! Za małyś na wojnę — zafrasował się Kucharz.

— Może gdzie swoich znajdziesz? Trzeba się ludzi przepytać — pocieszał Janka Woźnica i zatrzymał Filipa przy pierwszej chałupie.

— Prr! Stój!

Obstąpili ich ludzie wkoło. Zaczęli ściskać jak krewnych. Całkiem nie mogli przyjść do słowa.

— Gdzie ich pognali, powiadacie? — dopytywali się Kucharz z Woźnicą.

— A z jakiej to wsi jesteś, synku? — pytały kobiety.

— Gnali tu ludzi, gnali! Z całym dobytkiem! — stękał jakiś dziadek.

— Ponoć ze dwie mile dalej puścili wszystkich wolno, bo już im na pięty zaczęli następować! — przekrzykiwali się stojący ludzie.

— Zostawcie mi małego, nie będzie miał biedy! — przedarła się przez krąg stojących zgarbiona babuleńka.

— Mnie zostawcie! Też głodu nie zazna! Mam sześcioro własnych, będzie siódmy! — dopraszała się tęga kobieta w niebieskiej chusteczce.

A Janek nagle uczepił się rękawów Kucharza i Woźnicy i dalejże prosić:

— Wujciowie jeszcze kawałek mnie podwieźcie! Na pewno znajdziemy mamę. Dwie mile, powiadają!

Nie było rady. Pośmieli się ludzie. Ktoś tam Jankowi węzełek położył na kolana. W węzełku krajanka sera i osełka masła. Ktoś go po czuprynie pogładził.

— Ma dzieciak rację! Bliżej będzie matki! W tamtą stronę jedziecie.

Pojechali kłusem, bo słońce dawno się skryło za lasem. Przytulił się Janek do Kucharza. Zadrzemał.

Obudził się, kiedy była już noc. Księżyc wędrował po niebie. Lśniły szybki jakiejś chałupy. Woźnica wyprzągł Filipa. Dał mu worek z obrokiem. Po chałupach kwaterowało wojsko. Wcisnęli się na sąsiek szeroko otwartej stodoły. Między leżących żołnierzy. Ułożyli Janka między sobą.

Skoro świt rumor się zaczął w podwórku. Żołnierze pluskali się koło studni, szykowali się do wymarszu. Dymiła już kuchnia. W kotle bulgotała kawa. Janek obudził się na sianie. Przecierał oczy i nie bardzo wiedział, skąd się wziął w tej cudzej stodole. Ale na progu zobaczył grubego Kucharza. Patrzył ku Jankowi.

— No, wstawaj, śpiochu! Kawa ci wystygnie! Piechota już rusza, wymyjemy kocioł i jazda! Wypytywałem się ludzi, w drugiej wsi ponoć są twoi!

Zerwał się Janek z siana. Hop! i już jest na klepisku. Pobiegł pod studnię. Wylał na głowę ćwiartkę wiadra wody. Zaraz sobie wszystko przypomniał. Rozejrzał się tylko za kotem. A kot siedzi sobie na ławeczce kozła i myje się łapą, widać także do drogi gotowy.

Filip ogląda się za zdjętym workiem obroku. Strzyże uszami, macha ogonem, co, jak wiadomo, po końsku znaczy:

— Jechać to jechać! Stać to stać! Ale obroku szkoda. Podjadłbym jeszcze nieco. Zjadłem miotłę gospodyni. Wystawiła ją na noc z sieni.

Nad drogą wolno opadał kurz za wojskiem, które znikało w oddali. Jechali raźno, w kotle zaczynała bulgotać woda na obiad.

Szosa, wygnieciona czołgami, biegła przez pola, przez łąki, przez laski. Po bokach drogi coraz to widać było rozwalone maszyny niemieckie, uszkodzone czołgi. To były ślady bitwy, która toczyła się przed paroma godzinami. Kuchnia polowa, jak wiadomo, nie chodzi przecie do ataku. Podąża za wojskiem, by na każdym postoju mogli ją obstąpić żołnierze z menażkami. Utrudzeni marszem, utrudzeni bitwą.

— Wujciowie, a jak wojsko siedzi w okopach, to co je? — pytał Janek to Woźnicy, to Kucharza, kiedy tak jechali po tej drodze.

— W okopach? Ano, to się w nocy podwozi tę naszą kuchnię. Wtedy jest obiad z kolacją razem — śmiał się Kucharz. — Kulki gwiżdżą, nie bój się! Myślisz, że to tak zawsze wleczemy się w ogonie?

— Ano, gwiżdżą! — potwierdził Woźnica. — Wojna to nie zabawa i wtedy byśmy cię, smyku, nie mogli już na swój wózek zabrać. Czekaj no! Wieś widać? Może tam już cię matce oddamy!

Im bliżej wsi, tym markotniej patrzył Kucharz na Woźnicę, a Woźnica na Kucharza. Podrapał się jeden za prawym uchem.

— Uhum! — mruknął pierwszy.

— Uhum! — mruknął drugi.

Widać już było kominy. Ale tylko kominy w ciepłym jeszcze popielisku. W tej wsi nawet kot nie wyszedł na drogę, żeby zamiauczeć.

— Uciekali, uciekali, a jeszcze i tę wieś zdążyli spalić — mruczał Woźnica.

Janek patrzył z wózka na mijane pogorzeliska. Podniósł głowę na siedzących po bokach żołnierzy.

I już o nic nie pytał.

Pojechali dalej. Przez pola ze zbożem, którego nikt z tej wsi nie zbierze. Przez las. I znów przez łąkę, na której widać było ślady bitwy: zasieki z drutów, rowy, rozbite działa.

I znów las. I znów pole. I nowa wieś. Tym razem wieś, w której piał kogut i dymiło się z każdego komina.

— No, tu cię, smyku, zostawimy u dobrych ludzi. Nie możesz dalej na wojnę jechać — westchnął, srogo wąsami ruszając, Woźnica.

— Droga przed nami daleka. Dzieci się na wojnę nie bierze — potakiwał Kucharz.

Przy pierwszej chałupie Woźnica krzyknął:

— Prr... Stój, Filipie! Do paleniska trzeba dołożyć, w kotle zamieszać.

Filip zastrzygł uszami i stanął.

Kucharz wziął się do swojej roboty. Woźnica wszedł do pierwszej chaty. Długo coś siedział.

Nagle stanął w progu z rozjaśnioną twarzą. Z chałupy wybiegł chłopak i pognał na koniec wsi, tylko śmigały gołe pięty.

— Jedziemy! — uśmiechnął się Woźnica i nawet pomógł sapiącemu Kucharzowi wsiąść do wózka.

Popatrzyli na siebie. Kiwnął głową jeden, kiwnął głową drugi.

— Jasiu, słuchaj no, smyku! — zaczął Woźnica zbierając lejce. — Jedziesz z nami, a jedziesz. Będziesz to nas pamiętał, jak się rozstaniemy?

— A bo co? — spytał Janek i popatrzył ciekawie na Woźnicę, po swojemu zadzierając łepetynę.

— Ano, tak sobie! Małyś, nie wszystko rozumiesz...

— Gdzie mały! Na ósmy rok mi idzie — obraził się Janek. — Wiem, żeście z daleka szli. Zaraz, aha, zza Moskwy. Na Warszawę idziecie. Nasze wojsko. I tamto też nasze, bo Niemca pobiło. Tamto z gwiazdkami...

— Mądrala — z uznaniem powiedział Kucharz. — A jak będziesz duży, to pamiętaj, że wojna to zła rzecz. Takim synkom dom odbiera. To raz. Potem matce się zagubią. To dwa. A potem z nimi kłopot, żeby znów miały i matkę, i dom. To trzy. O!

Wskazał nagle przed siebie ręką. Środkiem drogi pędziła ku nim kobieta. Za nią ów chłopak, który wybiegł z pierwszej chaty. Oboje krzyczeli coś, wymachując rękami. Janek spojrzał ku biegnącym i byłby wyskoczył z wózka, gdyby go Kucharz wpół nie złapał.

Stał na wózku i krzyczał:

— Mama! Mama! Moja mama!

Zza pazuchy wysunął głowę kociak. Rozdziawił różową mordkę i miauczał całkiem podobnie:

— Miau... Miau...

— Prr! Prr! Stój, Filipie! — wrzeszczał Woźnica ściągając lejce.

Całkiem zresztą niepotrzebnie. Filip stał już przecie, strzygąc uszami i łypiąc wyłupiastymi oczami. To za siebie, to przed siebie. Strzygł niespokojnie uszami, co miało znaczyć:

— No, no! Co też to będzie dalej? Czy ją wsadzą na mój wóz, czy małego zdejmą?

I machnął ogonem. W lewo, w prawo. Zobaczył, że mały wpada właśnie w objęcia matki, podany jej wyciągniętym rękom przez grubego Kucharza.

Filip nagle ruszył z miejsca. Sam, z własnej woli.

Po raz pierwszy bez komendy. Nie wiadomo, czy dlatego, że nie lubił patrzyć na takie czułości, czy bał się, że przybędzie mu jeszcze jeden ciężar.

Pognał truchtem przed siebie. Kiedy Janek wyjrzał zza ramienia matki, zobaczył tylko tuman kurzu na drodze.

— A... To byli nasi żołnierze. Kościuszkowcy. I oni mnie uratowali — wybąkał Janek podnosząc z drogi ocierającego się o maminą spódnicę kota.

— I ciebie, i nas wszystkich — dopowiedziała mama. — A nawet im podziękować nie zdążyłam...

Nad Filipem i jego załogą na kółkach daleko, daleko unosił się coraz mniejszy, szarawy obłoczek.

Janina Broniewska
Rys. Maria Mackiewicz

PAMIĘTAJCIE CHŁOPCY: NIEDZIELA 8 MARCA „DZIEŃ KOBIET"!
-PRZEPRASZAM, ŻE TAKI MAŁY BUKIET, ALE W OGRODZIE BYŁ ZŁY PIES!
-OBIECUJEMY, ŻE Z OKAZJI „DNIA KOBIET" NIE BĘDZIEMY KOLEŻANEK CIĄGNĄĆ ZA WARKOCZE!
-CZY MOGĘ PONIEŚĆ KOLEŻANCE TECZKĘ? WOLAŁBYM JEDNAK, ŻEBY MOI KOLEDZY TEGO NIE WIDZIELI!..
-CZY TO ŁADNIE, ŻEBY KOBIETA W „DNIU KOBIET" DOSTAŁA STOPIEŃ NIEDOSTATECZNY?
-WPIĄŁEM KOKARDĘ... MOŻE JAKIŚ MĘŻCZYZNA DA MI PODAREK!
-PRZECIEŻ TO PREZENT Z OKAZJI „DNIA KOBIET": BIAŁE MYSZKI!
GWIDON MIKLASZEWSKI 75

PIERWSZY EUROPEJCZYK W ŚWIĘTYCH MIASTACH ISLAMU

Być może nie pierwszym w ogóle, ale na pewno pierwszym Europejczykiem, który opisał swój pobyt w świętych miastach islamu — Mekce i Medynie — był młody Włoch, Lodovico Varthema. Urodzony w końcu XV wieku w Bolonii, od wczesnego dzieciństwa przebywał w Rzymie i uważał się za rzymianina. Kiedy Varthema był małym chłopcem, do Rzymu nadeszła wiadomość o odkryciu Ameryki. To wydarzenie rozpaliło jego dziecięcą wyobraźnię. Pilnie wysłuchiwał podróżniczych opowieści o kolejnych odkryciach nie znanych Europejczykom krain, a w końcu sam postanowił zostać podróżnikiem i do osiągniętych drogą morską przez Portugalczyków w 1498 roku bajecznych dotychczas Indii przedostać się lądem, szlakiem wiodącym przez równie tajemnicze kraje arabskie. Opuścił Rzym w 1502 roku. Tam gdzie pieprz rośnie, do odległych, korzennych stron, wyruszył samotnie, zdawszy się beztrosko na szczęśliwe przypadki.

Najpierw młody Lodovico udał się do Wenecji. Stąd z weneckimi kupcami popłynął do Aleksandrii, z której Nilem dostał się do Kairu. Przekonał się, że krążące w Europie opowieści o tym mieście były przesadzone. Przede wszystkim nie było tak wielkie, jak mówiono. Egiptem w tym czasie władali Mamelucy. Ta wywodząca się z arabskiego wyrazu „mamluk" — „niewolnik" nazwa początkowo istotnie oznaczała niewolników, kupowanych przez średniowiecznych władców Egiptu i wcielanych do gwardii strzegącej królewskiego dworu. Z czasem świetnie wyszkolona i bitna mamelucka gwardia stała się potęgą wojskową. W połowie XIII wieku Mamelucy obalili panującego wówczas władcę egipskiego i osadzili na tronie swego przywódcę. Wkrótce pod władzę Mameluków dostała się również Syria. Władcy mameluccy nadal kupowali młodych niewolników z różnych krain, których, po wyzwoleniu, kierowali do służby wojskowej lub urzędniczej. Religią panującą w rządzonych przez nich krajach był islam, ale wielu Mameluków było jego wyznawcami nie tyle z przekonania, ile dla otwarcia sobie drogi do awansów w wojsku lub administracji. W sprawach religijnych nie byli zatem Mamelucy tak surowi

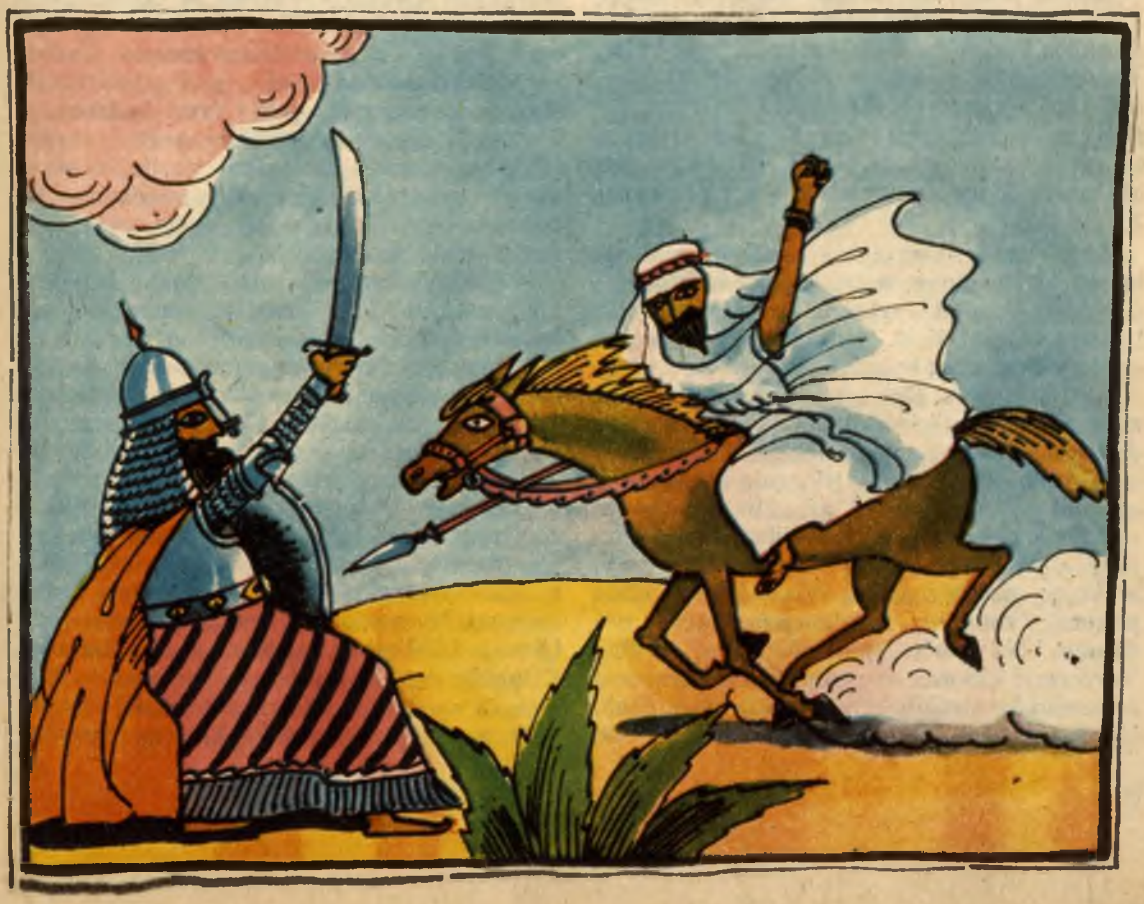

jak inni mahometanie i dlatego, zarówno w Egipcie, jak i w Syrii, chrześcijanie mogli się czuć dość bezpiecznie.

Przekonał się o tym Varthema. Z Kairu bez przeszkód powrócił do Aleksandrii, a stąd popłynął statkiem do Bejrutu. Wzdłuż libańskiego wybrzeża, już lądem, powędrował na północ do Tripolisu, później do położonej w dzisiejszej południowej Turcji Antiochii, a wreszcie, zawróciwszy na południe, do Damaszku, miasta, które określił jako „znamienite", ze wspaniałym zamkiem i bogatymi bazarami.

W Damaszku nasz podróżnik zatrzymał się na dłuższy pobyt. Zajmował się chyba handlem, a przy tym poznawał miejscowe obyczaje i pilnie uczył się języka arabskiego, gdyż powziął już śmiałą myśl, żeby dotrzeć do samego serca Arabii — do Medyny i Mekki. W tym celu postanowił udawać Mameluka i dołączyć się do mameluckiej pielgrzymki udającej się do świętych miejsc islamu. Za przyjęcie do pielgrzymki musiał, jak pisze, zapłacić prowadzącemu ją przewodnikowi „niemało czerwonych złotych", czyli dać sporą ilość monet wybitych z czystego złota. Opłata obejmowała również strój mamelucki i konia. Niezależnie od tego Varthema kupił kilka wielbłądów, dołączonych do wielbłądziego stada, dźwigających żywność i rzeczy pielgrzymów. Występując jako Mameluk, Lodovico przybrał imię Junas.

Pielgrzymka ciągnęła karawaną, na której czele, jak w wojsku, jechał konny oddział straży przedniej; potem szły juczne wielbłądy, a zamykała karawanę straż tylna. Jak w wojsku, dowódca karawany wydawał codziennie hasła. Ta ostrożność wynikała z częstych ataków, jakie na ciągnących do Mekki pielgrzymów przypuszczali Beduini — arabscy koczownicy, żyjący na mało zaludnionych, półpustynnych obszarach Półwyspu Arabskiego i północnej Afryki.

Karawana, z którą jechał Varthema, natknęła się na Beduinów w pobliżu jednego z wodopojów. Beduini, rozłożeni u wodopoju wielotysięcznym obozem, w którym byli i starcy, i kobiety z dziećmi, zażądali za dostąp do wody wysokiej zapłaty. Dowódca karawany zgodził się zapłacić. Ale wtedy Beduini zażądali sumy dziesięciokroć wyższej. Równocześnie, pochwyciwszy długie, trzcinowe włócznie zakończone ostrymi grotami, zaczęli wskakiwać na swoje rącze, nie osiodłane konie. Widząc to, Mamelucy użyli broni. Tak doszło do bitwy, w której sześćdziesięciu Mameluków miało pokonać znacznie liczebniejszą hordę Beduinów. Na placu boju pozostało, według Varthemy: kilkuset napastników, a karawana Mameluków straciła tylko dwóch ludzi. Stało się tak dlatego — tłumaczy Varthema — bo „Beduini są nadzy, nic na sobie nie mają, tylko koszule. Nasi Mamelucy mieli zbroje, łuki, strzelby rusznikarskie (pierwotną broń palną). Są do tego — dodaje — mężami niezwykle śmiałymi".

Po tym starciu karawana, bez większych już przeszkód, dotarła do Medyny. Zatrzymano się pod miastem, żeby nakarmić i napoić wielbłądy i konie, a także żeby się umyć i przebrać w lepsze ubiory. W samej Medynie Varthema przebywał ze swoimi mameluckimi towarzyszami trzy dni. Najciekawszym miejscem w tym mieście była dla niego, oczywiście, świątynia — meczet — z grobem Mahometa, założyciela islamu. Opisał ją następująco:

„Jest ten kościół długości stu kroków, szerokości osiemdziesięciu; prowadzi do niego dwoje drzwi; słupów pobielanych ma czterysta; lamp, w których goreją knoty, około trzech tysięcy. Przy kościele jest wieża o obwodzie piętnastu kroków, przykryta suknem jedwabnym i miedzianą kratą misternie wykonaną. Wchodzi się na wieżę ciasną furtką".

Wewnątrz meczetu, po obu jego stronach, Varthema zobaczył wiele wyłożonych ksiąg religijnych. Były to żywoty: Mahometa, członków jego rodziny i innych sławnych mężów islamu. Z całą stanowczością obala ten pierwszy, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, europejski reporter, krążące po świecie pogłoski, jakoby w świątyni miały miejsce cudowne zjawiska. Żelazny grób Mahometa nie wisi więc, jak rozpowiadano, w powietrzu, unoszony umieszczonymi w rogach świątyni potężnymi magnesami czy jakąś inną niezwykłą siłą. Nie otacza go również świetlana aureola. Grobowiec znajduje się na ziemi, a jeżeli pojawiają się obok niego płomyki ognia i dymy kadzideł, to wydostają się one z zamaskowanych otworów. „Pod grobem — stwierdza Varthema — są ukryte kanały, w których roznieca się potajemnie ognie, spala wonne zioła i czyni inne zwodzące ludzi sztuki".

Z Medyny karawana ruszyła dalej, do Mekki, miasta, w którym znajduje się najświętsze miejsce mahometan — czworoboczna świątynia Kaaba z wmurowanym Czarnym Kamieniem przyniesionym, według wierzeń islamskich, przez archanioła Gabriela. Teraz prowadził karawanę przewodnik z kompasem. Trzeba było bowiem przejeżdżać przez piaszczystą pustynię, na której wiatry natychmiast zacierały wszelkie ślady. Karawana przebyła ten trudny odcinek trasy szczęśliwie, chociaż musiała stoczyć jeszcze jedną bitwę z Beduinami. Nie poniosła tym razem żadnych strat i 8 maja 1503 roku (Varthema podaje dokładną datę) pierwszy Europejczyk w przebraniu Mameluka wjechał do miasta najbardziej strzeżonego przed niewiernymi, w którym schwytani

chrześcijanie lub Żydzi mieli być karani śmiercią.

Mekka wywarła na Varthemie wielkie wrażenie. Według jego opisu było to miasto piękne i bogate, z domami murowanymi, równie wspaniałymi jak w największych miastach europejskich. Nie było tylko otoczone murem, ale zastępowały go skutecznie pobliskie góry, czyniące z miasta naturalną warownię.

Świątynia w Mekce była większa i wspanialsza niż w Medynie. Jej wyłożone złotem ściany nasunęły Varthemie porównanie do biblijnej świątyni króla Salomona. Bramy prowadzące do wieży meczetu były wykonane ze srebra. Wspomina też Varthema o studni, z której pielgrzymi biorą wodę i obmywają się od wierzchu głowy aż po stopy, oczyszczając się w ten sposób z grzechów. W świątyni można było kupować wonności przywożone z Arabii i Indii o zapachach tak przyjemnych i silnych, jakich w Europie się nie spotyka. Meczet otaczały kramy z wielką rozmaitością towarów, w tym liczne sklepy korzenne. W pobliżu znajdowały się klatki z nosorożcami, hodowanymi dla podziwu przybywających do miasta pielgrzymów.

Zwiedzając jako pierwszy Europejczyk święte miasta islamu, Varthema dokonał niezwykłego wyczynu. Ale, jak wspomnieliśmy na początku, nie zaspokoiło to jego ciekawości świata. Wszak celem Varthemy były Indie. Zachęcony powodzeniem w udawaniu Mameluka, postanowił odłączyć się od karawany, nie wracać z nią do Damaszku, lecz jako Junas, wyznawca proroka, powędrować dalej z arabskimi kupcami. Zamiar urzeczywistnił z nawiązką, bowiem w ciągu sześciu lat dalszego podróżowania połączonego z wieloma niebezpieczeństwami i barwnymi przygodami, dotarł nie tylko do Indii, lecz i do wchodzących w skład Archipelagu Malajskiego Moluków — legendarnych w Europie Wysp Korzennych. Przywiezione przez Varthemę do Europy wiadomości pomogły Portugalczykom w opanowaniu tych wysp i utworzeniu przez Europejczyków własnego korzennego szlaku z pominięciem arabskiego pośrednictwa.

Mało dziś znany Varthema był niewątpliwie jednym z bohaterów okresu wielkich odkryć.

Zbigniew Przyrowski
Rys. Jerzy Flisak

W tym numerze „Płomyczka" drukujemy wspomnienia Sylwii Lubiny, uczennicy Państwowej Podstawowej Szkoły Muzycznej w Katowicach, z ubiegłorocznych ferii zimowych, które uznała Ona za „swoje najciekawsze".

W miasteczku na Saharze

„Wyjeżdżałam z Polski w bardzo mroźny dzień, by po kilku godzinach podróży samolotem znaleźć się w Algierii. Pierwsze wrażenie z afrykańskiego kontynentu to zaskoczenie: dzień był słoneczny, a termometr wskazywał prawie 30° ciepła! Z zainteresowaniem przyglądałam się palmom daktylowym rosnącym wokół lotniska. Widziałam je po raz pierwszy w życiu.

Do Annaby, gdzie pracuje mój tatuś, przyleciałam wieczorem i nic już nie mogłam zobaczyć. Za to od rana rozpoczęłam zwiedzanie miasta. Najciekawsze wydawało mi się zetknięcie tradycji z nowoczesnością. Obok starszych kobiet szczelnie owiniętych w czarne suknie i zasłaniających twarze białymi chustkami oraz mężczyzn noszących na głowie turbany, widziałam młodzież ubraną w dżinsowe stroje. Na drogach oglądałam nowoczesne szybkie samochody i obładowane ciężarami osiołki. Niezapomniane wrażenie wywarła na mnie pustynia. Przed nią — niespodzianka, czyli tzw. brama. Są to wielkie skały, a w nich jakby wycięty otwór, czyli właśnie ta „brama". Nazywa się ona „El Kantara". Za nią jest już Sahara. Wyobrażałam sobie, że zobaczę tylko dużo, dużo piasku. A tymczasem oglądałam wyrastający na pustyni lasek palmowy, wytryskające gorące źródełko i pojawiające się czasami zabudowania wiosek.

Dopiero przed miastem zwanym Touggourt zobaczyłam olbrzymie „piramidy" drobnego, niezwykle miłego w dotyku, piasku. Czasami wiła się po nim żmija lub dreptał skorpion. Oglądałam „okręty pustyni", czyli wielbłądy. Zbierałam „róże pustyni", które powstają ze zlepiających się pod wpływem wilgoci ziarnek piasku, tworzących jakby piękny kwiat.

Zwiedzałam też stare miasto, zwane Timgad. Zostało ono założone przez Rzymian w III w.n.e. W Timgadzie zachowały się niektóre budowle z tamtych lat, np. amfiteatr, łuk cesarza Trajana, akwedukty, czyli starożytne wodociągi. Te zabytki przetrwały wiele tysięcy lat i teraz podziwiają je turyści z całego świata".

Sylwii wysyłamy nagrodę książkową. Mamy nadzieję, że z przyjemnością przeczytaliście ten słoneczny list w zimny marcowy dzień.

Ciekawi jesteśmy, jak Wy spędziliście zimowe ferie i który z dni uważacie za „swój najciekawszy". Czekamy więc na Wasze listy nie tylko z opisem ferii, ale także najciekawszych spraw, ludzi, wydarzeń.

Listy należy przesyłać pod adresem: Redakcja „Płomyczka", 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380, z dopiskiem na kopercie — „MOJE NAJCIEKAWSZE".

Na fotografii u góry: brama pustyni — El Kantara

Fot. Maria Czernik

ZANIM ZAPALISZ ŚWIATŁO (1)

ELEKTROWNIE CIEPLNE

Nie każdy wie, jak powstaje energia elektryczna, ale każdy potrafi włączyć światło lub telewizor, kiedy nadchodzi czas rozpoczęcia filmu. Wielu z Was potrafi też posługiwać się komputerem, gdy chce coś obliczyć, zaprogramować lub zagrać w nową grę.

Nie umiemy wyobrazić sobie życia bez urządzeń zasilanych energią elektryczną, bez lodówek, pralek, magnetofonów i odkurzaczy.

Skąd bierze się ta energia?

Zdecydowana większość energii elektrycznej wytwarzana jest w elektrowniach opalanych węglem, inaczej: w elektrowniach cieplnych.

Dlatego naszą wędrówkę rozpocząć trzeba od kopalni, w której, zazwyczaj z głębokości kilkuset metrów pod ziemią, wydobywa się węgiel, nazywany czasem „czarnym złotem".

Najwięcej węgla wydobywa się w Polsce na Śląsku.

Węgiel w kopalniach ładuje się na „węglarki" i rozwozi po kraju, między innymi do elektrowni. Często elektrownie buduje się w pobliżu kopalń, nie trzeba wówczas wozić węgla koleją, przesyła się go do elektrowni taśmociągami.

Węgiel przywieziony do elektrowni wagonami trzeba rozładować. Trudno sobie wyobrazić, by można było takie ogromne ilości wyładować łopatami. Wagony wjeżdżają do maszyny zwanej wywrotnicą i cały wagon obracany jest do góry kołami, a węgiel sam z niego wypada. Stąd droga jego wiedzie, najczęściej taśmociągami, do ogromnych młynów, gdyż węgiel przed podaniem na ruszty kotłów trzeba zemleć.

Jak wygląda kocioł, czyli urządzenie, w którym spalany jest węgiel i wytwarzana para?

Jest to konstrukcja wysokości dużego budynku, często nawet wieżowca, z setkami rur wewnątrz, do których wprowadza się wodę. Para z kotła o temperaturze ponad 500°C i o wysokim ciśnieniu kierowana jest na łopatki turbiny i powoduje ruch obrotowy wału turbiny połączonego z wałem generatora. Można więc powiedzieć, że turbina służy do napędzania generatora, który przetwarza energię mechaniczną w elektryczną.

Co to jest generator? Wyjaśnijmy to na przykładzie roweru. Do zasilania lampy rowerowej używana jest prądnica rowerowa, nieprawidłowo nazywana dynamem. Generator w elektrowni to jakby większy brat tej rowerowej małej prądnicy. Właśnie w generatorze wytwarzana jest energia elektryczna. Wskaźniki energii w nim wytwarzanej nie są dostosowane do naszych domowych urządzeń, jak również do przesyłania liniami energetycznymi. Konieczne jest więc podanie energii do transformatora, który odpowie-

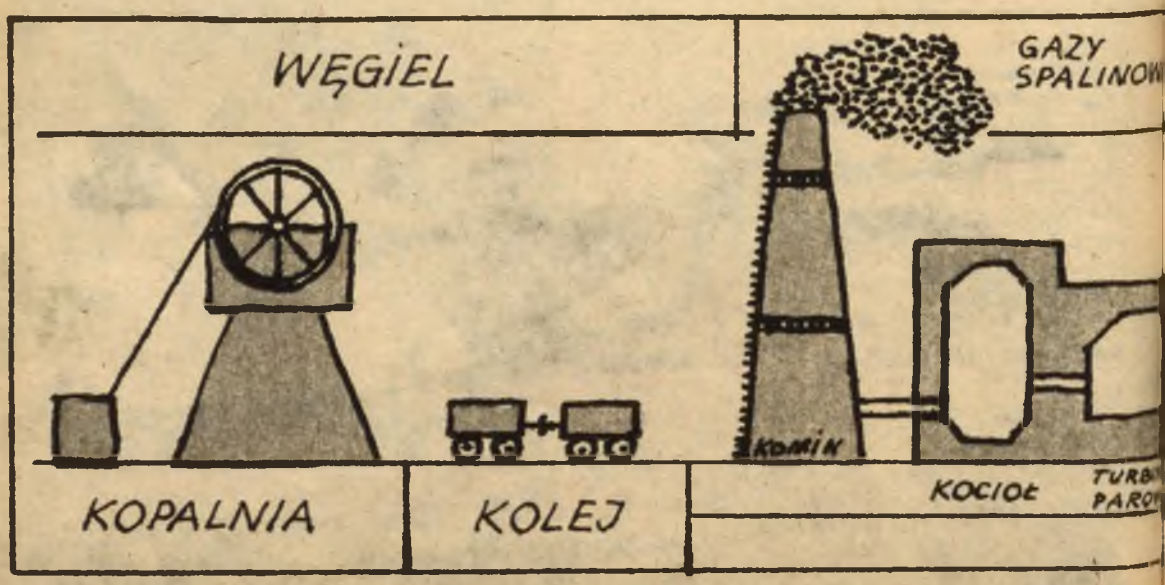

Elektrociepłownia Żerań w Warszawie *Fot. W. P. Jabłoński*

dnio zmienia napięcie. W liniach przesyłowych zastosowane jest wysokie napięcie. Zanim jednak energia ta będzie nadawała się do zasilania urządzeń domowych, musi być jeszcze kilkakrotnie przetwarzana.

Często słyszy się w telewizji, że uruchomiono jakiś nowy blok energetyczny. Ten blok to właśnie zespół urządzeń składający się z kotła, turbiny, generatora i transformatora. Blok może samodzielnie, jako część elektrowni, produkować energię elektryczną.

Popatrzcie jeszcze na rysunek. To wszystko, co przeczytaliście, można przedstawić w postaci prostego szkicu, nazywanego schematem technologicznym. O innych rodzajach energii napiszemy w następnym numerze „Płomyczka".

Jacek Kamiński

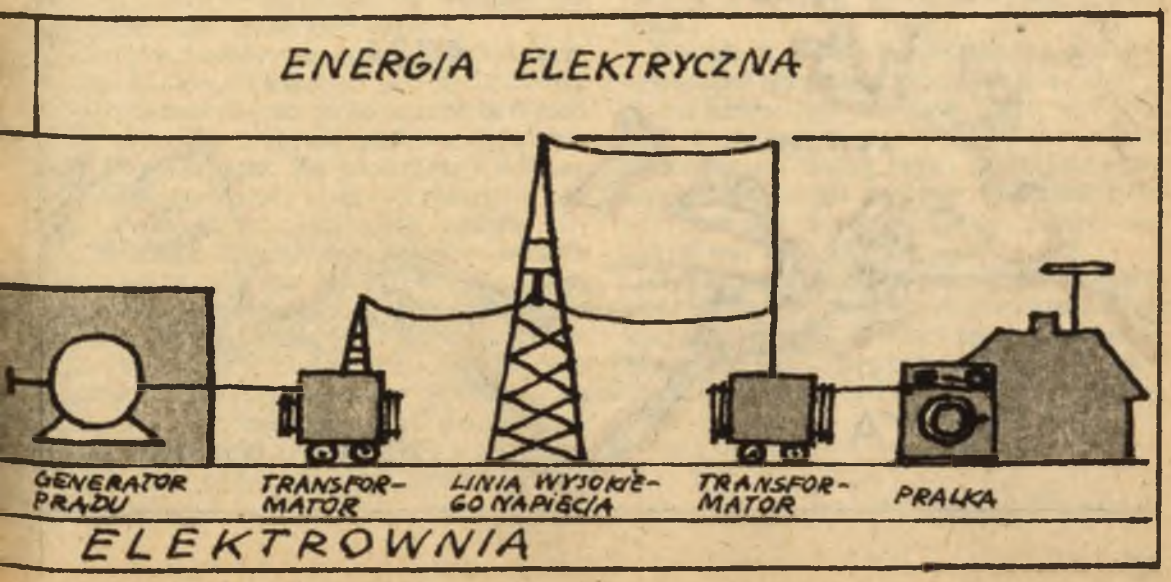

KORZENIE

Dla nas korzenie oznaczają podziemne części roślin, ale nasi pradziadowie chodzili do sklepów korzennych, żeby kupować tam inne korzenie — części roślin, zwierające wonne składniki, używane jako przyprawy do potraw. Korzeniami w tym drugim, przestarzałym już dzisiaj, znaczeniu są: wysuszone ziarnka pieprzu, wysuszone i sproszkowane kłącza imbiru, sprasowane w laseczki owoce wanilii, płatki kory cynamonowca, zasuszone pączki goździkowca.

Przypraw tych chętnie używali już starożytni Rzymianie, a później ceniono je szczególnie w średniowiecznej Europie.

To średniowieczne zapotrzebowanie na ostre, wonne przyprawy historycy tłumaczą w ten sposób: Ówczesne rolnictwo nie mogło zapewnić dostatecznej ilości paszy, aby jej starczyło na pożywienie w czasie zimy dla większej liczby bydła i trzody chlewnej. Znaczną część przychówku zabijano więc jesienią. Wszystkiego tego mięsa nie można było zjeść na raz. A zatem, co tylko nadawało się do przechowywania, to solono, wędzono i peklowano, chłodni bowiem wtedy nie było. Po krótkim okresie ucztowania i objadania się świeżym mięsem następowały całe miesiące spożywania, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, konserw. Ostrymi korzennymi przyprawami starano się poprawiać smak, a często także i zapach mięsnych potraw.

Niestety, rośliny dostarczające korzeni nie rosły w Europie, lecz w odległych, ciepłych krajach i trzeba je było stamtąd sprowadzać. Zajmowali się tym kupcy korzenni. Ale europejscy kupcy nie mogli nabywać korzeni tam, gdzie rosły korzenne rośliny, czyli przede wszystkim w południowo-wschodniej Azji. Lądowa droga w tamte strony (morskiej jeszcze nie znano) była nie tylko bardzo długa i uciążliwa, lecz także niebezpieczna, gdyż przebiegała przez pustynne obszary, na których na kupieckie karawany napadały półdzikie plemiona koczowników. Ponadto, jak tylko mogli, starali się nie dopuścić Europejczyków do krajów korzennych władcy i kupcy leżących po drodze państw mahometańskich, którzy czerpali duże zyski z handlowego pośrednictwa.

Droga korzeni z południowo-wschodniej Azji do Europy była więc następująca: Zebrane na Półwyspie Malajskim i wyspach Archipelagu Malajskiego, trafiały one do Malakki, największego wówczas ośrodka handlowego w tej części świata. Tu skupywali je docierający w te okolice kupcy arabscy i przewozili wzdłuż wybrzeży Zatoki Bengalskiej, a potem Morza Arabskiego do portów nad Zatoką Perską lub Morzem Czerwonym. Z tych portów korzenie,

załadowane w worki i paki, wędrowały na grzbietach wielbłądów przez piaszczyste pustynie do Damaszku, Bejrutu, Kairu. Dopiero tutaj dochodziło do spotkania kupców mahometańskich z europejskimi, przede wszystkim weneckimi, ponieważ posiadający dużą flotę Wenecjanie najczęściej i najliczniej przypływali do śródziemnomorskich portów Syrii, Libanu, Egiptu. Z Wenecji, jako głównego w Europie ośrodka handlu korzeniami, ów pożądany towar był rozwożony ciężkimi kupieckimi wozami po innych krajach Europy.

Głównymi pośrednikami w europejskim handlu korzeniami byli kupcy flandryjscy (średniowieczna Flandria obejmowała dzisiejszą Belgię i Holandię i wchodziła w skład królestwa Francji), niemieccy i angielscy.

Nic dziwnego, że po przebyciu tak złożonej drogi i po przejściu przez ręce tylu pośredników goździki kupowane w Londynie były sto razy droższe niż w Malakce. Nic więc dziwnego, że pieprz sprzedawano na ziarenka, a jedno ziarnko miało wartość równoważnej mu grudki srebra, że imbir i cynamon ważono na czułych wagach złotniczych i zamykano przy tym drzwi, żeby przypadkowy powiew wiatru nie zdmuchnął nawet odrobiny tych drogocenności.

Zbigniew Przyrowski

ŚREDNIOWIECZE

Europejczycy dzielą dotychczasowe dzieje ludzkości na trzy okresy: starożytność, średniowiecze i czasy nowożytne. Starożytność — to ponad 4 tysiące lat, które upłynęły od pojawienia się najstarszych zachowanych wiadomości o narodach żyjących nad brzegami Morza Śródziemnego do upadku w roku 476 n.e. Cesarstwa Rzymskiego, największego państwa z tamtej epoki. Średniowiecze trwało ponad tysiąc lat — do końca XV wieku. Wydarzeniem, które zapoczątkowało czasy nowożytne, w jakich my żyjemy, było odkrycie Ameryki w 1492 roku.

W historii narodów zamieszkujących Europę okresem szczególnie ważnym było średniowiecze. Wtedy, podobnie jak Polska, powstała większość istniejących dzisiaj państw europejskich. W średniowieczu, w wyniku przyjęcia w tym okresie przez wszystkie europejskie narody chrześcijaństwa, nastąpiło zbliżenie ich obyczajów — rozwinęła się wspólna dla Europejczyków kultura europejska.

Rządy w średniowiecznych państwach sprawowali królowie i książęta za pośrednictwem rycerstwa zobowiązanego do strzeżenia w państwie porządku i obrony państwa przed napadami z zewnątrz. Za popieranie i ochronę swej władzy panujący nadawali rycerstwu ziemię, a ludność zamieszkująca nadaną ziemię — chłopi, rzemieślnicy, kupcy — musiała żywić i, pracując lub płacąc podatki, zaspokajać różne wymagania zarówno bezpośrednio władającego nimi pana, jak i jego zwierzchników. W takim układzie najdostatniej żyli panujący, najgorzej natomiast powodziło się chłopom, utrzymującym swoją pracą wszystkich pozostałych mieszkańców, gdyż rolnictwo było podstawą całej średniowiecznej gospodarki.

Zapewne ta niesprawiedliwość spowodowała, że mówi się często o średniowieczu jako o czasach mrocznych, a określenia „średniowieczny" używa się w znaczeniu — „zacofany". Tymczasem to właśnie w średniowieczu powstały pierwsze uniwersytety, do dziś budzą zachwyt dzieła średniowiecznej sztuki: wspaniałe kościoły i zamki, rzeźby i obrazy, utwory literackie. W średniowieczu dokonano także licznych wynalazków. Nowy rodzaj uprzęży z chomątem umożliwił lepsze wykorzystanie koni jako siły pociągowej na lądzie. Żegluga została udoskonalona przez wynalezienie steru zawiasowego i zastosowanie kompasu magnetycznego. W średniowieczu wynaleziono koła wodne i wiatraki, a do wytapiania żelaza zaczęto stosować wielkie piece hutnicze. W średniowieczu dokonano również i takich wynalazków, jak: okulary, napędzany ciężarkami mechaniczny zegar wieżowy, prasa drukarska, a wreszcie proch strzelniczy i broń palna.

Właśnie w średniowieczu Europa stała się najbardziej rozwiniętą częścią świata.

Pod koniec tego okresu Europejczycy osiągnęli już tak wyraźną przewagę techniczną nad mieszkańcami innych części świata, że wyruszywszy na odległe wyprawy mogli nie tylko odkrywać nie znane im krainy, ale również dokonywać ich podbojów.

O jednym z licznych podróżników, którzy u progu czasów nowożytnych przyczynili się do lepszego poznania świata i opanowania przez Europejczyków odległych od Europy krajów, piszemy na stronach 21—23 „Płomyczka".

Zbigniew Przyrowski

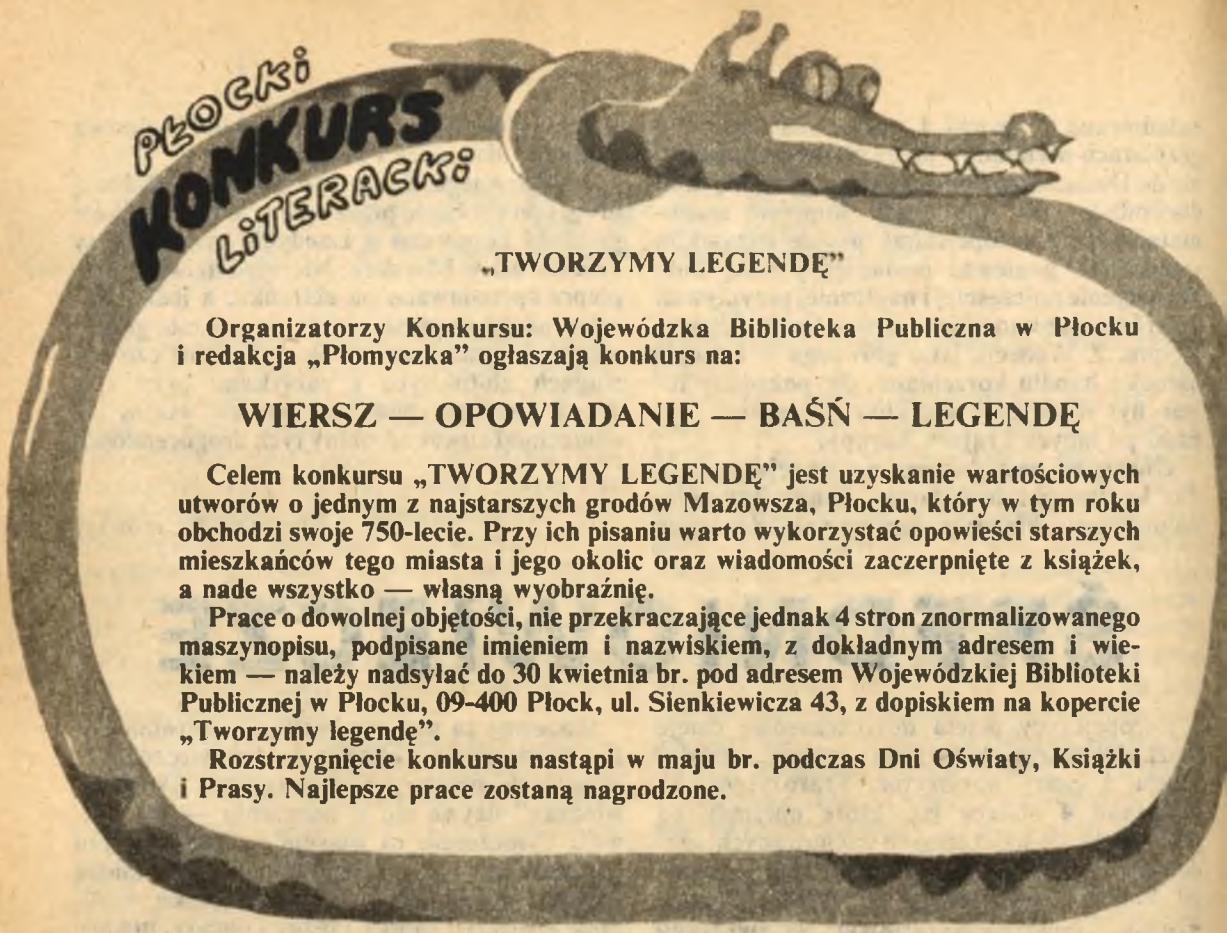

„TWORZYMY LEGENDĘ"

Organizatorzy Konkursu: Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Płocku i redakcja „Płomyczka" ogłaszają konkurs na:

WIERSZ — OPOWIADANIE — BAŚŃ — LEGENDĘ

Celem konkursu „TWORZYMY LEGENDĘ" jest uzyskanie wartościowych utworów o jednym z najstarszych grodów Mazowsza, Płocku, który w tym roku obchodzi swoje 750-lecie. Przy ich pisaniu warto wykorzystać opowieści starszych mieszkańców tego miasta i jego okolic oraz wiadomości zaczerpnięte z książek, a nade wszystko — własną wyobraźnię.

Prace o dowolnej objętości, nie przekraczające jednak 4 stron znormalizowanego maszynopisu, podpisane imieniem i nazwiskiem, z dokładnym adresem i wiekiem — należy nadsyłać do 30 kwietnia br. pod adresem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Płocku, 09-400 Płock, ul. Sienkiewicza 43, z dopiskiem na kopercie „Tworzymy legendę".

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju br. podczas Dni Oświaty, Książki i Prasy. Najlepsze prace zostaną nagrodzone.

ZGADUJ • ZGADULA • ZGADUJ • ZGADULA

Do kratek krzyżówki wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 3. kawałek drewna pod paznokciem, 5. polskie góry, 6. bywa na końcu rękawa.

Pionowo: 1. chodnik uliczny, 2. zostaje po zjedzeniu jabłka, 4. zabytkowy mebel.

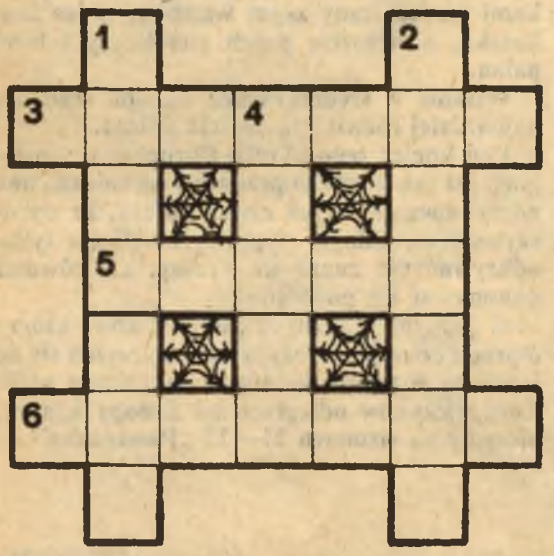

◀ Krzyżówka

Tylko jedna droga prowadzi do środka labiryntu. Znajdźcie ją.

LABIRYNT

NASZ ZWIERZYNIEC

KAZUAR

Kazuary należą do rzędu strusiowatych razem ze strusiami właściwymi i pampasowymi oraz nielotami, zwanymi kiwi. Ptaki te dawno już utraciły zdolność latania, podobnie jak pingwiny. Mają mizerne, uwstecznione skrzydła, ale bardzo silne nogi, na których poruszają się długimi skokami. Szybkością dorównują koniowi wyścigowemu.

Do kazuarowatych należą emu i kazuar hełmisty. Ten ostatni nosi na głowie pokaźny, twardy hełm, wypełniony gąbczastą substancją. Noga kazuara ma trzy palce, z których jeden jest zakończony długim pazurem, ostrym jak sztylet. Kazuar może nim zabić przeciwnika lub dotkliwie zranić. Kazuary jak i strusie odżywiają się pokarmem roślinnym, zresztą są wszystkożerne, ale nie są drapieżnikami, a pazurów używają jedynie do obrony. Upierzenie ich jest czarne, przy czym głowa i szyja są nagie, w skrzydłach zaś zamiast piór sterczą długie, rogowe pręty. Ciężar tych ptaków dochodzi do 100 kg, a wzrost do 1,5 m. Dziwny jest sposób ich gniazdowania. W wygrzebanym w ziemi dołku samice z danego stada znoszą (każda 3—8) jaja o ciężarze do pół kilograma każde, które następnie wysiadują samce. Kazuary żyją w Nowej Gwinei, na mokrych, lesistych obszarach, emu zaś w Australii i Tasmanii, gdzie są prześladowane za szkody czynione w uprawach rolnych.

Szczególną sympatią darzymy strusia afrykańskiego, największego ptaka, którego masa ciała sięga 150 kg, a wzrost 260 cm.

Samica strusia znosi rocznie 20 jaj, z których każde waży 1,2 kg, tyle, co 24 jaja kurze. Jaja wysiadują na zmianę samiec i samica, ale pisklęta wodzi samiec, może dlatego, że ma zdolność wydawania głosu i zwoływania ich, w przeciwieństwie do samicy, która jest niema. Struś afrykański u starożytnych Egipcjan był czczony jako ptak święty, natomiast Izraelici uważali go za zwierzę nieczyste. Bliskim jego krewniakiem jest struś amerykański. Nieprawdą jest, że struś w razie niebezpieczeństwa chowa głowę w piasek.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 150 zł,
półrocznie — 300 zł,
rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

Opracowanie graficzne numeru — Sabina Uścińska-Siwczuk

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1988 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 2255/87 D-9
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

KAZUAR

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ